

Wiele lat, a nawet dziesięcioleci musi upłynąć, „*nim się przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytuń uleży*” - pisał Adam Mickiewicz, wkładając

tę opinię w usta Kajetana Koźmiana, poety pseudoklasycznego, co to „*opiewał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu*”.

W przypadku tak zwanych „

żołnierzy wyklętych

”, których na dobrą sprawę należałoby raczej nazywać niezłomnymi, dziesięciolecia chyba nie wystarczą. Z jednej strony „

niech na zawsze w piosence zostanie chwała Polski, partyzancka brać

” - jak śpiewaliśmy na obozach harcerskich w Zwierzyńcu na Roztoczu w latach 1957 i 1958, kiedy po październiku 1956 roku na krótko dopuszczono do harcerstwa „

starych

” instruktorów, niekiedy nawet AK-owców, których miejsce zajęli wkrótce potem partyjni karierowicze – ale z drugiej „

reakcyjne podziemie

” wzbudzało nienawiść przedstawicieli polskojęzycznej wspólnoty rozbójniczej, która – korzystając z dobrego fartu pod sowiecką okupacją – rozwnuczyła się w kolejnych pokoleniach. Reakcja potomstwa hitlerowskich i sowieckich kolaborantów na przywracanie w Polsce pamięci o żołnierzach niezłomnych pokazuje, że polskojęzycznej wspólnocie rozbójniczej najwyraźniej nie wystarczyło fizyczne ich wytępienie, ale pragnęliby również zatrzeć o nich wszelką pamięć tak, żeby nie pozostał nawet ślad po zatarciu. Jest to skądinąd zrozumiałe, bo odradzanie pamięci o żołnierzach niezłomnych jest dla tego potomstwa nieustannym wyrzutem sumienia nie tylko z powodu łajdactw popełnionych przez przodków, ale również, a może nawet przede wszystkim dlatego, że żołnierze ci podnieśli poprzeczkę godności i honoru tak wysoko, że współcześni folkdsojczycy, ani kunktatorzy, co to chętnie przywdziewają kostium „

realistów

”, nie są w stanie jej osiągnąć nawet gdy podskakują, więc chociaż hurtowo wystawiają sobie nawzajem certyfikaty przyzwoitości, to w głębi serca wiedzą przecież, że wszystkie one są gównem – i to napełnia ich nieustannym bólem rozdrapywanych na nowo ran, zdawałoby się – już dawno i na dobre zarośniętych błoną podłości. Tu dziesięciolecia nie wystarczą i dopóki kolejne generacje odradzającej się nieustannie polskojęzycznej wspólnoty rozbójniczej nie odetną się raz na zawsze od swojej kolaboranckiej przeszłości, to nie zaprzestaną też prowadzenia wojny przeciwko historycznemu narodowi polskiemu, który musi dzielić z nimi terytorium państwowe. Tej nienawiści doświadczyli najdotkliwiej przede wszystkim żołnierze niezłomni i pragnęli uwolnić się od niej, nawet za cenę schronienia się w śmierci. O czym marzyli? Odpowiada na to pytanie wspomniana piosenka: „

Święty Pieter ci bramę otworzy. Spyta: skąd? - Z partyzantki jam jest! Wejdiesz w ogród spokoju i zorzy, boś jest Polak i walczyłeś też.

” W ogród spokoju i zorzy... Udręczeni już tylko o tym marzyli, już tylko tego chcieli.

Militarna i polityczna klęska żołnierzy niezłomnych stanowi pożywkę dla tak zwanych „*realistów*”, u których albo niedostateczny temperament, albo brak odwagi, albo i jedno i drugie, wzbudza

niechęć do wszelkich form przeciwstawiania się przemocy. Oczywiście ani do braku odwagi, ani niedostatku temperamentu przyznawać się nie wypada, ale od czegoś „

realizm

”? Toteż w imię „

realizmu

” postawa żołnierzy niezłomnych i przez nich jest, jeśli nawet nie bezwzględnie i pryncypialnie potępiana, to w najlepszym razie – lekceważona, jako efekt uwiedzenia fałszywą ideologią insurekcyjną, według której siły należy mierzyć na zamiary, co już od początku nosi w sobie zarodek klęski. Na pierwszy rzut oka tej krytyce ze strony „

realistów

” niepodobna niczego zarzucić. Rzeczywiście ideologia insurekcyjna z jej zasadą mierzenia sił na zamiary, nosi w sobie zarodek klęski. Ale kiedy rozbierzemy sobie te sprawy z uwagą, to nie da się ukryć, że krytyka żołnierzy niezłomnych główne swoje ostrze wymierza w poświęcenie. Tymczasem postawa realistyczna jest możliwa, a zwłaszcza owocna tylko wtedy, gdy nie wszyscy są realistami, gdy niektórzy, a nawet nie tyle „

niektórzy

” co raczej większość, wykazuje gotowość do poświęcenia na rzecz wymarzonego celu. I ocena, czy cel ów leży w granicach realizmu, musi ten czynnik uwzględniać, na równi z innymi, na przykład – liczebnością armii, czy jej uzbrojeniem. W języku wojskowym nazywa się to „

morale

” i to właśnie ono często przesądza o wyniku konfliktu. „

Zwycięży kto najmocniej chce

” - głosiła piosenka popularna w czasach pierwszej komuny. I jeśli chodzi o poświęcenie, to żołnierze niezłomni dostarczają miary nie tylko cywilom, ale przede wszystkim – naszej niezwykłej armii, w której – jak podejrzewam – od „

realistów

” aż się roi.

Mieszanie herbaty bez cukru

Zainteresowanie społeczeństwa sytuacją naszej niezwykłej armii jest stosunkowo niewielkie, co można tłumaczyć zarówno okolicznością, że Polska została przez rządy SLD-PSL oraz Unii Wolności w znacznym stopniu rozbrojona. O jej kondycji świadczyły statystyki, według których w pewnym momencie liczyła ona 22 tys. oficerów, 45 tys. podoficerów, 12 tys. szeregowców zawodowych i 12 tys. szeregowców nadterminowych. Na jednego oficera przypadało 2 podoficerów, którzy dowodzili do spółki jednym szeregowcem. Podobnie wyglądała armia polska w czasach saskich, no ale wtedy używana była głównie do asystowania przy pogrzebach i tym podobnych uroczystościach. Drugą okolicznością jest skłonność Umiłowanych Przywódców do prężenia cudzych mięśni, to znaczy – mięśni sojuszników. Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami jest – już nie marszałek Śmigły-Rydz, tylko armia Stanów Zjednoczonych, która do spółki z Bundeswehrą będzie broniła polskich interesów państwowych do ostatniej kropli krwi. W tej sytuacji dalekosiężna myśl wojskowa naszej

niezwyciężonej armii kierowała się ku rozmnażaniu dowództw, w których można byłby sporządzić sobie wygodne nisze ekologiczne, gdzie można by spokojnie dotrzeć aż do emerytury. Toteż nic dziwnego, że cywile nie zwracali specjalnej uwagi na armię składającą się też z cywilów, którzy tylko z racji swego *emploi* poprzebierali się w mundury. Przekonanie, że nasza niezwyciężona armia nikogo nie jest w stanie przed niczym obronić, było dodatkowo umacniane przez nie tyle nawet wprowadzenie batalionów obrony terytorialnej, co opowieści, że to właśnie one, w sytuacji gdy główne siły nasze niezwyciężonej zostaną już rozgromione, stawiają napastnikowi bohaterski opór, na widok którego on się „*zadziwi i złęknie*”, dzięki czemu ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas. Nawet osobom bez specjalnego przygotowania wojskowego wydawało się to dziwne w sytuacji, gdy klasycy nauk wojskowych twierdzili, że jednym z podstawowych celów jest jak najszybsze przeniesienie wojny na terytorium nieprzyjaciela, a nie ściąganie jej na terytorium własne. Tymczasem zawirowania i spory, jakie wybuchały wokół naszej niezwyciężonej armii przechodziły nad tymi wątpliwościami do porządku, koncentrując się na „

strukturze dowodzenia

”, co przypominało mieszanie herbaty w szklance, do której zapomniano dosypać cukru.

Kosztowne zaniedbania i zaniechania

Tymczasem nawet w sytuacji posiadania potężnych sojuszników, trzeba zadbać o mięśnie własne, bo czym kończy się prężenie cudzych mięśni, to przekonaliśmy się we wrześniu 1939 roku. Oczywiście możliwości te zależą od stanu gospodarki państwa, bo – jak to już dawno zauważył pogromca Napoleona, książę Wellington - „*armia maszeruje na brzuchu*”. Ale bywają niekiedy okazje pozwalające pójść na skróty i właśnie po raz pierwszy mieliśmy z nią do czynienia, gdy prezydent Kwaśniewski i premier Miller wprowadzili polski kontyngent wojskowy do Iraku. Było to spełnienie prośby administracji prezydenta Busha, którego można było wtedy poprosić o przynajmniej dwie przysługi wzajemne: obietnicę, że USA nie będą wywierały na Polskę nacisków w sprawie żydowskich roszczeń majątkowych oraz o amerykańska zgodę na militarną konwersję polskiego długu zagranicznego. Tak się bowiem złożyło, że w tym czasie zagranicznymi wierzycielami Polski były już wyłącznie państwa członkowskie NATO. Z tego tytułu Polska miała argument w rozmowie z Amerykanami i innymi rządami, że militarna konwersja, polegająca na tym, że pieniądze, które Polska miałaby oddać wierzycielom z tytułu spłaty długu, za ich zgodą przeznaczyłaby na modernizację własnej armii, będącej przecież składnikiem sił zbrojnych NATO i w dodatku rozlokowanej za wschodnim krańcem obszaru obrony NATO. Zatem taka militarna konwersja dokonałaby się w interesie wszystkich uczestników Paktu, a nie tylko Polski. Niestety ani jedna, ani druga propozycja nie została prezydentowi Bushowi złożona, bo Aleksander Kwaśniewski myślał, że w takiej sytuacji prezydent Bush z wdzięczności zrobi go I sekretarzem ONZ, a w ostateczności – I sekretarzem NATO. Nic z tego nie wyszło i Polska też nic z tego nie miała, bo tylko agenci amerykańscy dostali swoją dolę za pośrednictwem firmy Nur Corporation, która te „

honoraria

” rozprowadzała.

Druga okazja – też zresztą zaprzepaszczona – pojawiła się, gdy prezydent Obama zresetował swój poprzedni reset stosunkach z Rosją, w następstwie czego USA powróciły do aktywnej polityki w Europie Środkowo-Wschodniej, zapalając zielone światło dla przewrotu politycznego na Ukrainie. Kiedy w czerwcu 2014 roku prezydent Obama pojawił się w Warszawie, by powinszować nam, że ponownie podjęliśmy się niebezpiecznej roli amerykańskiego dywersanta na Europę Wschodnią, dwukrotnie na antenie Radia Maryja mówiłem, by tym razem już nie powtarzać błędu prezydenta Kaczyńskiego, który wcześniej podjął się tej roli za darmo, tylko żeby przedstawić prezydentowi Obamie dwie prośby: po pierwsze – by USA oficjalnie obiecały Polsce, że nie będą wywierały na nią nacisków w sprawie roszczeń żydowskich – a obecny rozwój wypadków pokazuje, jak ważna była to sprawa – oraz drugą – że Polska, podejmując się niebezpiecznej roli amerykańskiego dywersanta, siłą rzeczy stała się państwem frontowym. W związku z czym chcielibyśmy, by USA traktowały Polskę tak samo, jak inne państwo frontowe, czyli Izrael. To znaczy – 4 miliardy dolarów rocznie kroplówki finansowej na modernizację i dozbrojenie armii oraz udogodnienia wojskowe, podobne do tych, z jakich korzysta Izrael. I znowu nikt nie ośmielił się złożyć prezydentowi Obamie tych propozycji, łącznie z Księciem-Mażonkiem Radosławem Sikorskim, inaczej nazywanym „Paziem”, który w podsłuchanej rozmowie wyplakiwał się, że musi Obamie „

robić łaskę

” za darmo. Ale Rzeczpospolita nie płaciła Księciu-Mażonkowi za „

robienie łaski

”, tylko za pilnowanie polskich interesów, do czego „

Paź

” najwyraźniej był albo za głupi, albo zbyt nieśmiały. „

Łaskę

” by jeszcze zrobił, ale już nic więcej.

Po pierwsze – nie zachęcać

Nie jestem fachowcem wojskowym – a to oni powinni odpowiedzieć przywódcom państwa, jaka armia jest potrzebna do osiągnięcia celów, wynikających z polityki państwa. To o owo jednak i ja mogę powiedzieć, odwołując się do takich tęgich teoretyków wojny, jak Karol von Clausewitz. Zauważył on między innymi, że sprawcą wojny nie jest napastnik, tylko napadnięty, bo swoja słabością najwyraźniej musiał zachęcić napastnika. Podobnie myślały wilki z bajki napisanej przez biskupa Ignacego Krasickiego, jak to w lesie przydybały jagnię. Już zabierały się, by je rozszarpać i zjeść, gdy tymczasem jagnię postawiło sprawę na nieubłaganym gruncie praworządności – że jakże mogą je rozszarpać i pożerać bez dania racji? Wilki się zreflektowały; rzeczywiście, tak nie można – i przedstawiły jagnięciu trzy powody, dla których zaraz rozszarpia je i pożrą: „*smacznyś, słaby i w lesie*” - „*Zjedli niezabawem*” - konkluduje pozbawiony złudzeń ksiądz biskup. Wypływa z tego wniosek, by nie dopuszczać do takiej słabości państwa, która zachęcałaby jakiegoś potencjalnego napastnika. A wydaje się, że pochłonięci sporami o „

strukturę dowodzenia

” naszą niezwyciężoną armią Umiłowani Przywódcy, a zwłaszcza – pan prezydent Duda, dopuścili do sytuacji, w której ukraiński generał odgraża się, że jeśli Polska będzie pomstowała na banderyzm, to półtoramilionowa ukraińska diaspora w Polsce „

chwyci za kije

”. Ciekawe, czy gdyby pan prezydent Duda zawiózł do Kijowa jeszcze jeden miliard euro haraczu, Ukraińcy w Polsce też „

chwyciliby za kije

”, czy jednak trochę by z tym poczekali?

Drugą sprawą jest eliminacja ze struktur państwa agentury – no a z tym Polska ma problem już od 1944 roku. Ciekawe, że ta sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej w związku z tzw. transformacją ustrojową, kiedy to bezpieczeniacy, gwoili wyrobienia sobie jakiejs polisy ubezpieczeniowej na wypadek ewakuacji Sowietów ze Środkowej Europy, na własną rękę zaczęli przechodzić na służbę do przyszłych sojuszników Polski, wskutek czego nasz nieszczęśliwy kraj jest jakby sparaliżowany i niezdolny do realizowania swoich interesów w stosunkach sojuszniczych. Ten paraliż dochodzi do tego, że Polska sprawia wrażenie bezbronnej nawet wobec pana Kramka, który otwartym tekstem nawoływał do obezwładnienia rządu. Tych buńczucznych deklaracji musieli wysłuchiwać nie tylko ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo Polski w niezwyciężonej armii, ale i bandy darmozjadów, dekujące się po tak zwanych „*służbach*”. W tej sytuacji pan Kramek i tak jest uprzejmy, że jeszcze nie przechodzi od słów do czynów – ale jak długo możemy liczyć na jego dobrą wolę?

Stanisław Michalkiewicz • Portal Informacyjny „Magna Polonia” (www.magnapolonia.org) • 16 kwietnia 2018